

Chciałbym zagrać rolę szekspirowską...

„Widnokrąg” rozmawia z Tadeuszem Łomnickim



Fot. K. KOMOROWSKI

Tadeusz Łomnicki należy do tego pokolenia aktorskiego, które bezpośrednio po wyzwoleniu trafiło do teatru. Łomnicki znalazł się w krakowskim Teatrze Starym trochę przypadkowo, nie dlatego, by nie interesowały go sprawy sceny, ale teatr pociągał go raczej od strony literackiej, jeżeli mógłby coś robić w tej dziedzinie, to jako autor dostarczający tekstów. Z takimi mniej więcej zamiarami przekroczył teatralne progi i najwykłej pomylił drzwi komisji egzaminacyjnej, omyłkowo trafił do pokoju, w którym egzaminowano aktorów. I nagle ogarnęło go pragnienie: dlaczego by nie spróbować? Nigdy nie przeczuwał nawet, że mógłby zostać aktorem, to już leżało poza strefą przewidywanych możliwości. Lecz oto naderżyła się okazja. Przystał na nią nie bez wątpliwości. I tak już zostało, tyle tylko, że z czasem pozbył się owych wątpliwości, nabierając przekonania, że aktorstwo jest dla niego wartością, z której nie potrafiłby zrezygnować.

Dzisiaj Łomnicki to aktor dojrzały, mający na swoim koncie dziesiątki znakomych ról, które ugruntowały jego pozycję w kraju i zdobyły zagraniczny rozgłos. Ale wtedy w 1945 r. był ledwie materiałem na aktora, młodym człowiekiem, któremu życie nie szczęśliwie okupacyjnych doświadczeń. Można powiedzieć, że już w chwili startu dopisało mu szczęście: trafił w dobrą ręce. Pierwsza lekcja scenicznego „wtajemniczenia” otrzymał od takich znakomitości, jak Juliusz Osterwa, Andrzej Pronaszko i Janusz Warnecki.

Wspomina tych ludzi z wdzięcznością. Przecież pierwszą w życiu rolę otrzymał od samego pana Juliusza... Osterwa zajął się nim osobiście, poświęcał mu dużo czasu, podobnie zresztą jak Warnecki i Pronaszko.

„Uczyli mnie wszystkiego, od po-

czątku. To było raczkowanie. Pierwszą sztuką, w której grałem u Osterwy była „Teoria Einsteina” Cwojdzńskiego”.

Łomnicki to aktor wszechstronny, chociaż najbardziej odpowiada mu współczesny repertuar charakterystyczny. W tej dziedzinie stworzył wspaniałe kreacje, wyraziste, wszechstronne, bogate, stanowiące trwałe dorobek współczesnego teatru polskiego. Przypomnijmy tu „Karię Artura Ul” Brechta, „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego (Jan w podwójnej roli: w teatrze Axera i w filmie Forda), w „ZOO” Albee’go. Osobiście najwyższej ceni sobie rolę w sztuce Albee’go „ZOO”, za nią otrzymał nagrodę Klubu Krytyki Teatralnej SDP im. Boya.

A klasyka? Potrafił w nowy sposób odczytać Łatkę z „Dożywocia”, popisać rolę nie byle kogo, bo samego mistrza Solskiego. Powiedzieć tutaj coś oryginalnego było bardzo trudno. Łomnicki dokonał tego. Grał Kordiana, rolę ta przyniosła mu ogromny sukces w Paryżu. Zaliczony został do grona najlepszych aktorów świata, którzy grali w paryskim teatrze im. Sarah-Bernhardt.

Łomnicki nie lubi rzeczy łatwych, nie epatuje drobiazgami, nie szuka tanich efektów. Jako aktor sięga po rzeczy najtrudniejsze, analizuje je z żelazną konsekwencją, buduje swoje role z niesłychaną precyzją. Łomnicki nie boi się pracy, pracy ogromnej i żmudnej. Większość jego ról — to majstersztyk sztuki aktorskiej, zadziwiający precyzją, siłą wyrazu, budzący podziw dla talentu artysty.

Co sądzi o współczesnym aktorstwie?

„To przede wszystkim umiejętność zobaczenia i wyrażenia w precyzyjny sposób przeżyć dzisiejszego człowieka. Opowiadam się za pracą, której towarzyszą dwa elementy: racjonalizm i rzemiosło. Nie wierzę tym różnym intuicjom. Ciągłe eksperymentuję, nie wyobrażam sobie,

aby mogło być inaczej, wszystko dookoła się zmienia, aktor również nie może zatrzymać się na zdobytych pozycjach. Wydaje mi się, że zawsze będę poszukiwał, może tylko będę to robił z największym spokojem”.

Czy lubi swój zawód? — Takie pytanie zadał mu kiedyś 14-letni syn. — Lubi i jeszcze jak! Ale z czego to wynika?

Pan Tadeusz tłumaczy mi żartobliwie: „Po prostu jestem gadułą, o czym zresztą miał pan okazję się przekonać, a człowiek, który „kocha” gadanie, szuka towarzysztwa. Aktor ma to rozwiązane, wieczorem opowiada ludziom jakąś historię i to jest jeden z największych uroków tego zawodu”.

Choć jest przede wszystkim aktorem, nieą go również inne możliwości. Skończył wydział reżyserski i właśnie teraz prezentuje na drugiej scenie Teatru Współczesnego swą pierwszą pracę „Nie jesteś piękna”, spektakl składający się z trzech jednoaktówek japońskiego pisarza Yukio Mishimy. „To była dla mnie duża przygoda — powiada — od dawna marzyłem o tym, by spotkać się na scenie z Ireną Eichlerówną i wreszcie to nastąpiło. Jest to przedstawienie (Łomnicki reżyseruje go i równocześnie gra we wszystkich jednoaktówkach) odbiegające trochę od konwencji europejskiej, proste, trochę tajemnicze, owiane klimatem prawdziwej poezji”.

Wpływy?

„Jeżeli chodzi o reżyserów, jestem stale pod dużym urokiem Erwina Axera, z którym zresztą na co dzień pracuję i w którego teatrze grałem większość ról. Natomiast jeżeli chodzi o aktorów w Polsce — to cenię bardzo aktorstwo Woszczerowicza i Eichlerówny, mam również wielką miłość do aktorów na świecie, których lubię. Należą do nich niezjący już Włoch Moretti (był przed paru laty w Warszawie z teatrem Piccolo Teatro di Milano), bardzo lubię Laurence Oliviera w „Tytusie Andronicusie”, bardzo cenię sobie talent Jeanne Moreau, z którą o mało nie grałem w filmie, a ostatnio jestem pod wrażeniem Felliniego, zobaczyłem jego film „Osiem i pół”.

— A propos filmu. Współpracuje Pan z nim od dawna.

— Tak, jeszcze od 1946 roku grałem w takim filmie „2 godziny” z Szaflarską, z którą wiele wówczas grałem w krakowskich teatrach. W ubiegłym roku brałem udział w trzech filmach: „Pierwszy dzień

(Ciąg dalszy na str. 2)

Działacze kultury

Gdy górnik kończy swą szychę przy ścianie węgla może łatwo sprawdzić wyniki swej pracy. Mierzy się ona ilością wyrobionej calizny węgla. Tokarz wie dobrze ile detali obróbił w ciągu dnia, a murarz widzi wzrastanie muru pod swoimi dłońmi. Architekt wreszcie może oglądać owoc swego trudu i myśli, wcielony w szkło, żelazo i beton. Wartość i ilość ich pracy jest wymierna, sprawdzalna omalże dotykłem — stąd дума i radość z jej wyników, stąd poczucie przydatności w społeczeństwie. Inaczej bywa, gdy tworzyłem człowieka budującego nowe dobra i wartości jest materiał mniej konkretny i dotykalny jak cegła, żelazo czy węgiel. Gdy „jedrowanie”, obróbka i budowanie odbywa się w obrębie psychiki i umysłu naszych bliźnich. Wtedy o wiele trudniej o krzepiącą radość z własnych osiągnięć — często trzeba błądzić po omacku, podlegać zwątpieniom, stawiać sobie liczne znaki zapytania, wśród których czasem pojawi się tragiczny: „Czy to co robię ma jakikolwiek sens?”. Takich ludzi jest u nas legion — zwiemy ich trochę pompatycznie twórcami i działaczami kultury. To pisarze, muzycy, malarze, aktorzy, lecz także bibliotekarze, prelegenci, świetlicowcy, instruktorzy pracy k. o. — publicyści i teoretycy zagadnień kultury i kierownicy amatorskich zespołów straży pożarnej lub dyrygenci chórów GS-ów. Wielka armia żołnierzy frontu kultury składająca się z generałów i szeregowych.

Generalowie za trud i odpowiedzialność dowodzenia jeszcze miewają trochę satysfakcji i nagrody — jest nią popularność ich książek czy utworów, radość tworzenia, czasem choć nieczęsto szacunek i uznanie odbiorców. Ale trzeba mieć wiele odwagi i determinacji, wiele entuzjazmu i wiary w użyteczność swego trudu, by być szeregowym tej armii. Jakich ma sprawdzian celowości swego działania instruktor, prelegent czy bibliotekarz? Nie wymierzmy o ile wzbogaca się umysł i serce odbiorcy dóbr kulturalnych po każdej przeczytanej książce, po każdym spektaklu teatralnym, po każdej imprezie świetlicowej. Bo tylko w optymistycznych powiastkach działacz kultury przeoruje psychikę swego otoczenia i zjadaczy chleba przerabia w aniołów natychmiast, w trybie doraźnym. Rzeczywistość bywa inna. W czytelni wiejskiej młodzież chce grać w karty, na odczyt troskliwie przygotowywany przybywa 20 ludzi, z których 10 zupełnie przypadkowo, w klubach kawiarniach GS w wielu jeszcze wsiach najatrakcyjniejszym zajęciem jest picie wódki... Jak dotrzeć do nich przez skorupę zubożnienia, jak wytworzyć u wielu głód wartości, o których istnieniu nawet jeszcze nie wiedzą, jak sprawdzić czy się nie popełniło omyłki w wyborze właściwej drogi?

Mówiło się kiedyś złośliwie, iż jeśli ktoś nie nadaje się do żadnej rzetelnej pracy i nic konkretnego nie umie, na pewno znajdzie przytułek w kadrcie kulturalno-oświatowej. Istotnie tacy pracownicy i działacze istnieją w kulturze do dziś. Ci nie mają wątpliwości, nie przeżywają rozterek, pracują nie dla ludzi, lecz dla sprawozdań i statystyk. Ale stanowią oni tak niewielką grupkę, że wielkim aktem niesprawiedliwości byłoby budowanie na przykładzie ich działania opinii o wszystkich. Kto powtarza takie uogólniające sądy, do dziś nie widzi ile trudu wkładają bibliotekarze, instruktorzy, kierownicy świetlic w swoje samokształcenie. Ile godzin dodatkowych przesiedają nad skryptami zaoicznych kursów, studiów średnich, zawodowych czy wyższych. Ile poświęcają czasu na wyjazdy szkoleniowe, na kursy-konferencje, seminaria i sesje naukowe. I wyniki tej pracy są widoczne.

Dzisiaj ranga pracownika kulturalno-oświatowego i działacza kultury rośnie z każdym rokiem. Docenia ich trud społeczeństwo, władze partyjne i państwowe. Skuteczność tego trudu niewymierna w jednostkowym działaniu jest oczywista i widoczna w całokształcie naszego życia. Nie trzeba liczb, nie trzeba statystycznych porównań, by dojrzeć głębokie przeobrażenia kulturalne i umysłowe w Polsce w najbardziej nawet zapadłych wioskach. Rewolucja kulturalna stała się od dawna faktem za sprawą tych skromnych, a jakże ofiarnych i pracowitych ludzi.

Województwo rzeszowskie posiada szczególnie żarliwych i szczególnie wartościowych działaczy kulturalnych. Toteż nasze osiągnięcia w tej dziedzinie są największe w kraju. Dzięki ich zaangażowaniu i pasji uzyskaliśmy I miejsce w Polsce w gromadzeniu funduszy na budowę obiektów kulturalnych, II miejsce pod względem ilości tych obiektów wznoszonych w czynnie społecznym. Jesteśmy w czołówce czytelnictwa bibliotecznego i na I miejscu w zakupie książek na osobę. Nasze amatorskie zespoły artystyczne zdobywają ciągłe czołowe nagrody nie tylko w kraju, lecz także na festiwalach i konkursach międzynarodowych. Stanowimy dla innych regionów dobry przykład dydaktyki, rozmachu i skuteczności pracy kulturalno-oświatowej.

Dlatego oprócz licznych nagród i wyróżnień, którym społeczeństwo daje wyraz szacunku, uznania i podziękowań dla działaczy kultury, w dniu ich święta należą się im także gorące i podniosłe słowa — gdyż oni tych podniosłych i wielkich słów nie używają w swej mroźczej i ofiarnej pracy.

Z okazji Dnia Działacza Kultury w naszym województwie odznaczono Złotym Krzyżem Zasługi KATARZYNĘ TRYPALUK — kierowniczkę Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Mielcu, Srebrnym — TADEUSZA AKSAMITĘ — pracownika Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

Oznaki Zasłużonego Działacza Kultury otrzymali:

AUGUSTYN BRONISŁAW — działacz kulturalny z Gorlic, TADEUSZ BĘBEN — działacz kulturalny, rolnik z Gaci w powiecie przeworskim, CECYLIA BŁONSKA — dziennikarz, WŁODZIMIERZ CZARNECKI — nauczyciel Liceum Ogóln. w Lubaczowie, DANUTA DAŃCZAK — działacz kulturalny w Leżajsku, BRONISŁAW FILIPCZAK — działacz kulturalny z Sanoka, WŁADYSŁAWA GORSKA — kierownik PIMBP w Jarosławiu, JAN GRYGIEL — dziennikarz, JANINA JURASIŃSKA — nauczycielka L. O. w Dynowie, STEFAN KŁOSOWICZ — pracownik Wydziału Kultury Prez. PRN w Strzyżowie, MARIA LEWICKA — kierownik świetlicy PZGS w Łańcucie, STANISŁAW MOTYKA — nauczyciel L. O. w Gorlicach, BOŻENA NIŻAŃSKA — instruktor choreograf WDK w Rzeszowie, WIKTOR NOWICKI — sekretarz Zarządu Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie, TADEUSZ PATER — działacz kulturalny, rolnik z Szalowej, ZOFIA PELC — nauczycielka Szkoły Podstawowej w Łańcucie, TEODORA PUKA — kierowniczka Biblioteki Gromadzkiej w Radomyślu, EUGENIUSZ RYCHEL — działacz związkowy i kulturalny, STANISŁAW SMYKAŁA — instruktor

WK ZSL, MARIA TELEGA — kierowniczka czytelni WIMBP w Rzeszowie, WŁODZIMIERZ WAL — dziennikarz, STANISŁAW ISKRZYŃSKI-WITOWSKI — artysta malarz, nauczyciel L. O. w Jaśle, WŁADYSŁAWA ZIĘBA — działaczka k. o. z Rzeszowa.

W tym samym dniu następujący działacze otrzymali nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki: KAZIMIERA BUCZEK — kier. świetlicy PZGS w Jaśle, EUGENIA CZADO — kier. PIMBP w Łańcucie, STANISŁAW GIERGON — kinooperator z Nienadowej, ANTONI GROCHOWSKI — instruktor Klubu ZZK w Jaśle, ANNA KLOC — pracownik WIMBP w Rzeszowie, JULIAN KROCHMAL — przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Rzeszowie, HENRYK LEWKOWICZ — działacz kulturalno-oświatowy w Kańczudze, JANINA ŁYSIAK — instruktor WKZZ w Rzeszowie, JADWIGA MAŁKIEWICZ — kier. PIMBP w Przeworsku, JÓZEF POMIANEK — działacz kulturalno-oświatowy ZMW — Rzeszów, EDWARD POSŁUSZNY — działacz kulturalno-oświatowy w Rzędzianowicach pow. Mielec, ZBIGNIEW UMINSKI — pracownik WDK w Rzeszowie, JÓZEF ZYGMUNT — kier. szkoły w Jezewem pow. Nisko.

Ponadto Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych przyznała nagrody pieniężne 23 osobom, a Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie nagrodziło 113 osób.



Na przepustce

Fot. K. BANACH

W 70-lecie urodzin

JAN PARANDOWSKI

Oto pisarz zanurzony w rzece czasu, artysta zaprzyjaźniony ze wszystkimi mitami wyobraźni. Jego zaangażowanie mieści w sobie narodziny i zmierzchy wszystkich europejskich kultur. Tkwi jakby ponad doraźnymi sporami literackich alternatyw — kronikarz chwili i historyk ludzkości w księdze archeologicznych zapisów. Słowem — Jan Parandowski.

Mimo pozorów — nie jest pisarzem jednoznaczny. Mimo urzędzenia antykiem — nie jest pisarzem akademickim, mimo erudycji — jest bardziej artystą słowa niż uczyonym w potoczny rozumieniu słowa. Jego rzeczywistością są śródziemnomorskie kultury, odbłask południowego słońca na północnej chropowatości tysiąclecia, jego ideałem — człowiek łączący w sobie relikty umarłych epok i poezje wszystkich religii świata. Po Kochanowskim i innych poetach renesansu Parandowski spolszczył Grecję i Rzym, zaklimatyzował leśne boginki i satyrów w pejzażu sosen i świerków, zagospodarował Olimp na polską nutę, cytując złote runo obdarzył zapachem tatrzańskiej wietry. Jest to pierwszy naskórek erudycji, być może, w całej zależności wpływów wszechkultury i cywilizacji, potomek rodem z ptolomejskiej Calissji, przez którą przechodziły rzymskie karawany po bursztyn Bałtyckiego Morza.

Czas przeszły i zaprzęśli spotkał się na kartach pisarskiego dorobku Parandowskiego z polską teraźniejszością — wielką, cyzelowaną polszczyzną erudyty. Ale „Alchemia słowa” nie jest dla Parandowskiego tajemnicą ołtarza, jest także pracownią o szklanych ścianach, przez które pokazuje czytelnikowi tajemnice warsztatu. Jest to mistrz, który nie ukrywa rzemiosła, raczej pokazuje, jak talent, tworzywo i praca przemieniają marmur w dzieło sztuki, kamień — w dzieło ludzkiego geniuszu, martwa przyroda — w ślad człowieczej myśli. Dlatego ważny staje się nie tylko ostateczny wynik, ale proces tworzenia, nie tylko panteon artystów, ale i legion, który ponosi ostateczną klęskę. Parandowski pragnie „ocalić od zapomnienia” bezimiennych, półgeniuszy, powracających na tarasach, gdyż zarówno sukces czy klęska tworzą dwa odbicia jednego świata, w którym człowiek podróżuje przez pokolenia w rzece czasu.

Więc mamy urzędzenie antykami: Mitologie i Erosa na Olimpie, Rzym i Aspazję, Dysk Olimpijski i Gozdzine Śródziemnomorska, Homera i Petrarke, grekę i łacinę oswojone na zawsze. Wieczysta sukcesja obejmuje nie tylko skarby rzeźby i architektury, nie tylko wielkość mitów i filozofii, nie tylko ciężar tysięcy — ale i prawdę o człowieku zawieszonym w klatce wieżeń i uprzedzeń kultury rodzimej, choć przemieszanej w misie pochodów i wojen. Z wielu prawd wydobywa Parandowski zmienność, ale wieczność tę samą twarz człowieka. Na garbie wszystkich cywilizacji, wlogice postępującej historii, w powracającej tęsknocie do prawdy i piękna — kryje się optymizm, kierunkowskaz błędzacego, ale odnajdującego drogę gatunku. Bo piękno i prawda posiada dla Parandowskiego nie tylko wartości estetyczne czy

filozoficzne, posiada także właściwość busoli. Zwiertzałe polityczne racje Cezara, śmierć śródziemnomorskich imperiów, ograniczoność poezji religijnych mitów — stają się tylko oznacznikami historii, rodzajem kostiumu, w którym odbija się błędząca twarz człowieka.

Jest w tym spojrzenie nie tylko kronikarza, ale i sceptyka-racjonalisty. Jedną z niewielu w polskiej literaturze, od półwiecza, współczesnych powieści — „Niebo w płomieniach” — zawiera racjonalne racje młodzieńczych buntów. Przygoda Teofila Grodzickiego, podbudowana erudycją dziewiętnastowiecznych krytyków religii, stała się przygodą kilku polskich i europejskich pokoleń.

Wydaje się pisarzem niemodnym albo — wieczyście modnym. Przypomina kulturze tysiącletniej, że wywodzi się z kultur basenu morza trzech kontynentów, swoją osobą godzi sprzeczność Rzymów wschodu i zachodu, rekonstruuje matchnie homerowskich legend, sięga pamięcią do pierwoćni kultury. Wskruszenie antycznego świata uzyskuje Parandowski poprzez

cudowną stylistykę polszczyzny, klasycznej a wiecznie żywej, przenoszącej trud renesansowych humanistów w prawidła naszej wrażliwości. Gdyby piękno greckich posągów przenieść w twardość karpackiego granitu, jeszcze nie byłoby to samo — przecież nie skrywa przed nami alchemii polskiego języka, warsztatu erudyty, sceptycznej, ale ocieplonej miłością do kultury pracy pisarza. Miesi się bowiem ponad albo obok literackich nurtów dwudziestego wieku, on, Europejczyk, który północ przyłączył na trwałe do śródziemnomorskich kultur dziełstwa ludzkości.

Chciałbym dodać jeszcze jeden komplement — otóż ten pisarz dla intelektualistów, ten erudyta, jest także pisarzem dla młodzieży. Uważam, że tylko najwybitniejsi powinni przemawiać do wstępujących w życie pokoleń, jakby wiecznie żywa była Sokratesowa prawda, że język miedra zrozumiały jest dla serca młodzieży, odkrywającej na nowo i archeologię kultury, i wieczyście buntuj poprawiania świata.

WIESŁAW RUSTECKI

MARIAN ADAM KASPRZYK

Witraże niepokoju

Ten śpiew Marcisza poczęł mnie już na dobre denerwować. Wierciłem się niespokojnie na siedzeniu — bezskutecznie usiłując zasnąć. Od monotonnego szumu silnika i zapachu spalin bolała mnie głowa; oczu jednak nie mogłem zmrzyć: pod powiekami tysiące mikroskopijnych ziarenek piasku gryzły dokuczliwie, wyciskając nieomal izy.

Skarpę szosy poczęły znowu lizać wody jakiegoś jeziora. Dzikie ptactwo zrywało się z hałasem z przybrzeżnych trzcin i zarośli, zatacając kręgi przesłaniało na moment ogromną, czerwoną tarczą wschodzącego słońca.

Dzień wstawał bezchmurny i rozświegotany.

Marcisz gwałtownie wziął zakręt, potrącając mnie lokciem i jak wariat gwałtownie wyjechał. Znowu las. Korony drzew muskały plandokę „Lublina”, a przez opuszczone szyby wdarło się falą przesycone wilgotną pleśnią orzeźwiającej powietrze. Marcisz przestał wreszcie śpiewać, całą uwagę skupiając na prowadzeniu wozu. Widziało się, że doskonale panuje nad kierownicą. Usta to wykrzywiły mu się jakimś grymasem, to otwierał je szeroko, przygryzał wargi, wystawiał język i pomrukiwał.

— Co stękaasz? Dawaj stary, dawaj. O! tak tak... już niedaleko.

Jego dobry humor poczęł udzielać mi się wyraźnie.

— Ostrożnie, panie Franku, bo nam się pasażer na śmierć zatrząśnie — zaśmiałem się ostrożnie.

— Jemu to już ani pomóc, ani zaszkodzić nic nie może — odparł — ot, co najwyżej ułoży się wygodniej.

Usiłował się chyba przy tym usmiechnąć, ale zamiast tego, po twarzy mu przebiegł niewyraźny grymas zażenowania i zaraz się poprawił:

— Jak pan myśli, będą otwierać to pułki?

Cwaniak. Nie patrzył na mnie. Udaje, że mu na odpowiedzi nie zależy, a jednocześnie myśli intensywnie jak i ja: w prosektorium leżał kilka dni, gdy wyjeżdżaliśmy z Krakowa upał był niemiłosierny.

— Postaram się do tego nie dopuścić, a poza tym, przecież zaplombowana. Ale gdzie tam! — nie wolno i już.

— Lepiej się pan w te sprawy nie mieszaj, sanepidem tych pan nie postraszy. Mnie to nic nie obchodzi, ale coś mi się wydaje, że się nikogo pytać nie będą — zakończył z przygrzyzieniem warg.

Na tym rozmowa się urwała. Do szoferki wraz z promieniami słońca wcisnęły się znowu niepokoju i zdenerwowanie.

Minęliśmy Grajewo. Rozpartem się wygodnie na siedzeniu i sięgnąłem po aktówkę. Między kartami notesu mignął mi telegram i blankiet delegacji służbowej — cel wyjazdu: eksportacja zwłok. Spróbowałem zebrać myśli przed opracowaniem jakiegoś szkicu mowy pogrzebowej.

Rysiek był moim wychowankiem. Usiłowałem teraz przypomnieć sobie jak recytował wiersze z okazji szkolnych uroczystości. Gdy zapalał się, a czynił to prawie zawsze, co chwila obnażał zaciśnięte zęby. Patrzył daleko przed siebie, mrużył oczy i ściszał, to podnosił głos. Takim go zapamiętałem najlepiej. Był dobrym uczniem. Prowadził szkolną biblio-

„Widnokrąg” rozmawia z Tadeuszem Łomnickim

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wolności” Forda (wybieram się w związku z tym wraz z grupą filmowców na tegoroczny festiwal do Cannes), „Życie raz jeszcze” Morgensterna oraz „Głos ma prokurator” oparty na książce Juliana Kawałca „Ziemi przypisany”. Czasami robię coś dla telewizji, ale najbardziej pasjonuje mnie praca w teatrze...

— Podobno łączą Pana jakieś związki z Rzeszowszczyzną? — pytam na zakończenie.

— Owszem, łączą mnie i to bardzo miłe i trwałe: w Dębicy przebywałem podczas okupacji, w latach 1940-1942 chodziłem tu do szkoły handlowej, przed wojną przyjeżdżałem tu czasem na wakacje. Kochałem się tam pierwszy raz, tak... piękne okolice Wisłoka, lasy. Mam również rodzinę w Rze-

szowie, w ogóle mam w Rzeszowskim wielu przyjaciół i kolegów. Niestety, brak czasu nie pozwala mi na częste odwiedziny.

— Czy zawód aktora zostanie w rodzinie?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć, nie wiem, na razie syn jest „beatlesem”.

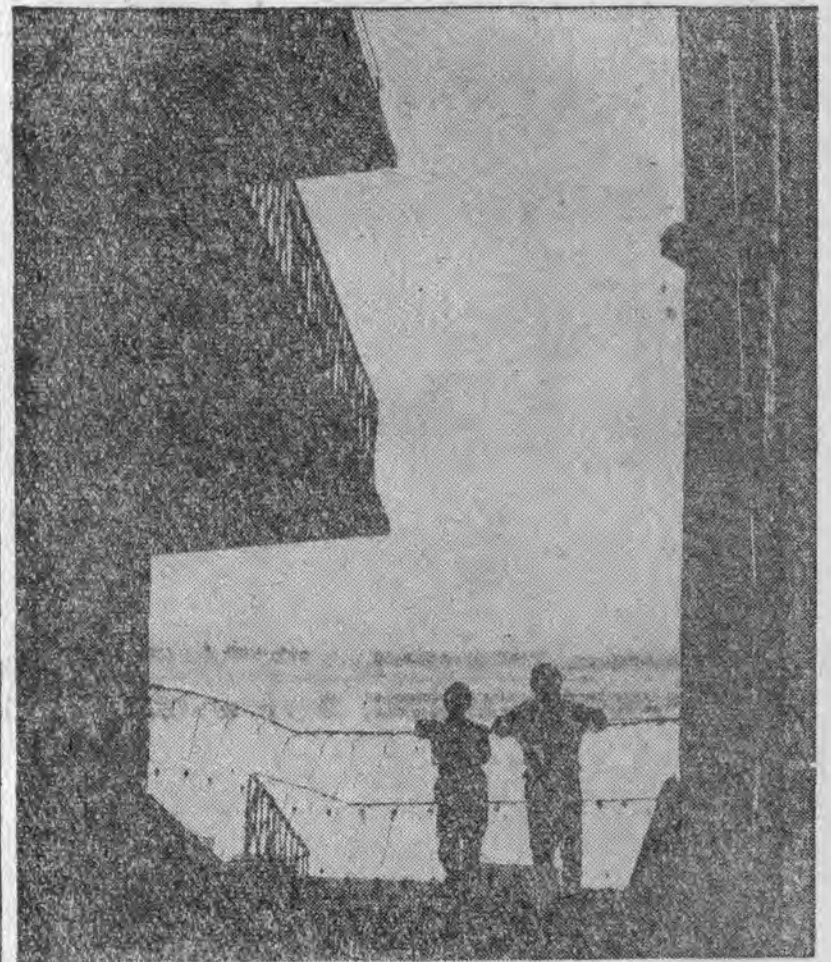
— O jakich rolach Pan marzy?

— Chciałbym zagrać pewną rolę w sztuce, proszę sobie wyobrazić — samego Szekspira.

— Co robi Pan z wolnym czasem?

— Mam go za mało. A jeśli się już tak zdarzy, jeżdżę do Kazimierza nad Wisłą — bo najbliższy — czytam i rozmawiam z przyjaciółmi, czyli gadam bardzo długo — o tak jak teraz z panem.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW WAWSZCZAK



Fot. JANUSZ WITOWICZ

tekę, a w jego szafce było zawsze pełno książek. Miał je zresztą pod zagłówkiem, w kieszeniach, pod ławką, nawet jeżdżąc — najczęściej czytał.

Zdaje się, że był jedyńkiem, nikt z nas też nie wiedział czy kiedykolwiek chorował w domu.

Spadło to na nas nagle. Pierwszy wypadek. Miejscowy szpital był bezradny. Przewiezienie chorego do Krakowa przyjęliśmy z ulgą; tam już sobie poradzą z każdym przypadkiem. Po tygodniu przyszedł ten telegram, podobny wysłałem do jego rodziców.

Jakoś bezwiednie sam się wszystkim zająłem od początku. Szef z milczącą aprobatą godził się z moimi projektami. Uważał nie wiadomo dlaczego, że moja funkcja zastępcy do spraw polityczno-wychowawczych — do takich rzeczy też przylega. W przedsiębiorstwie udało się załatwić samochód, parę groszy na trumnę, wieńce i urządzenie pogrzebu. Otrzymałem też z rady zakładowej pięćset złotych: schowajcie to osobno i wręczcie rodzicom, tylko jakoś taktownie...

Spróbowałem podzielić tę sumę na dziewiętnaście lat Ryskowego życia. Nic z tego nie wyszło. Nikt tu nie zawiął. Każdy tylko wypełnia swój obowiązek. Marcisz też: całą drogę śpiewał w obawie przed zaniżeniem, opowiadał kawały, śmiał się z nich zaraźliwie, rozmawiał z samochodem i chyba modlił się w duchu, by ten gruchot powrócił jako cało do Scaenowa. Wczoraj woził do południa cement, żwir i pustaki, i mógł się nie zgodzić na pracę w nadgodzinach. Ja zresztą też. Ejże? Czy ja naprawdę mogłem się nie zgodzić?

Zastanawiałem się nad moją rolą, tam, na miejscu. Jestem jedynym przedstawicielem świata, z którego jedyny syn nie powrócił, jak wracał zawsze na ferie — ż w y. Bałem się pytać, które m u s z e pozostać bez odpowiedzi. Przez szyby samochodu poczęłem patrzeć jak przez witraże o scenach bólu i z postaciami bezimiennymi o oczach pełnych przerażenia i rozpacy. Na moim miejscu była szara plama; niepokoju i zniechęcenia. Miałem też egoistyczną satysfakcję, że to nie mnie wzięli.

Minęliśmy Głęboko. Samochód podskakiwał po wybojach polnej drogi. Za kępą drzew białe zabudowania Posejnow. Znowu jezioro. Skinałem. Bez słów wysiedliśmy.

Marcisz nie patrzył w tamą stronę; przeciągał się oparty o samochód gryząc kłębki trawy. Wdrapałem się na platformę. Zapach ziętych zbóż mieszał się z wonią żywicy, trocin i wieńców. Pogniezione szary srebryły się napisami; kochanemu koleźce, drogiemu uczniowi, ceniowemu pracownikowi.

Gdzieś blisko jęczała, dławiąc się bez przerwy młookarnia. Marcisz perskał — myjąc się w jeziorze. Przybiegł skądś pies. Mierdając ogonem trącał nosem i obwąchiwał nasze śluzki, tubki, przybory do golenia, buteleczki z wodą kwiatową. Czas jakiś odpędzałem go od ubrań, a potem dałem za wygraną i wskoczywszy do wody popłynąłem w stronę Marcisza. Ten stał na wysepce i puszczał „kaczki”. Śmiał się i głośno liczył odbicia kamienia od nieruchomej tafli jeziora. Zawróciłem. Na brzegu stał jakiś człowiek. W rękę trzymał czapkę, bez przerwy przyglądał włosy i dreptał w miejscu ze zniecierpliwieniem.

— Panowie do Fertaków? Czekaemy od rana, chcemy dzisiaj Ryska pochować. To mój chrześniak — ciągnął wyraźnie wileńskim akcentem. Ubrałem się i po przywitaniu poczęstowałem go carmenem. Długo zwlekał z zapaleniem, rozglądał się, a potem nałożył czapkę. Po każdym zaciągnięciu się patrzył uporczywie w ogień i smakował, nad czymś medytując.

„Przemysł oskarża”

Kiedy mówimy o spustoszeniach i ofiarach, jakie pociągnęła za sobą II wojna światowa, operujemy zwykle liczbami ogólnymi, w skali kraju czy Europy, które uderzają wprawdzie swoją wielocifrowością, ale ludziom nie będącym świadkami tamtych wydarzeń mówią niewiele. Czyż można bowiem wyobrazić sobie pochód milionów ofiar do komór gazowych obozów koncentracyjnych? Czy można stworzyć sobie obraz kaźni, słyszając jedynie liczbę pomordowanych?

Taką właśnie opowieścią są relacje o hitlerowskiej okupacji Przemysła, zawarte w dokumentach i archiwaliach eksponowanych na otwartej w 20 rocznicę zwycięstwa nad faszystami wystawie „Przemysł oskarża”, przygotowanej przez tamtejsze Muzeum i Miejską Bibliotekę Publiczną.

W tym pięknym nadszańskim mieście, tylko w ciągu 5 dni czerwca 1941 roku zniszczeniu uległa 1/3 budynków mieszkalnych. O wiele bardziej bolesne były straty ludzkie wynoszące od czerwca 1941 r. do kwietnia 1944 r. 26.114 osób. Początek zrobili hitlerowcy w 1939 roku mordując 17-18 września tuż po wkroczeniu Wehrmachtu stu kilkudziesięciu żydowskich obywateli miasta. Ostatnie wiadomości o egzekucji zakładników w Przemyslu pochodzą z 19. VI 1944 r.

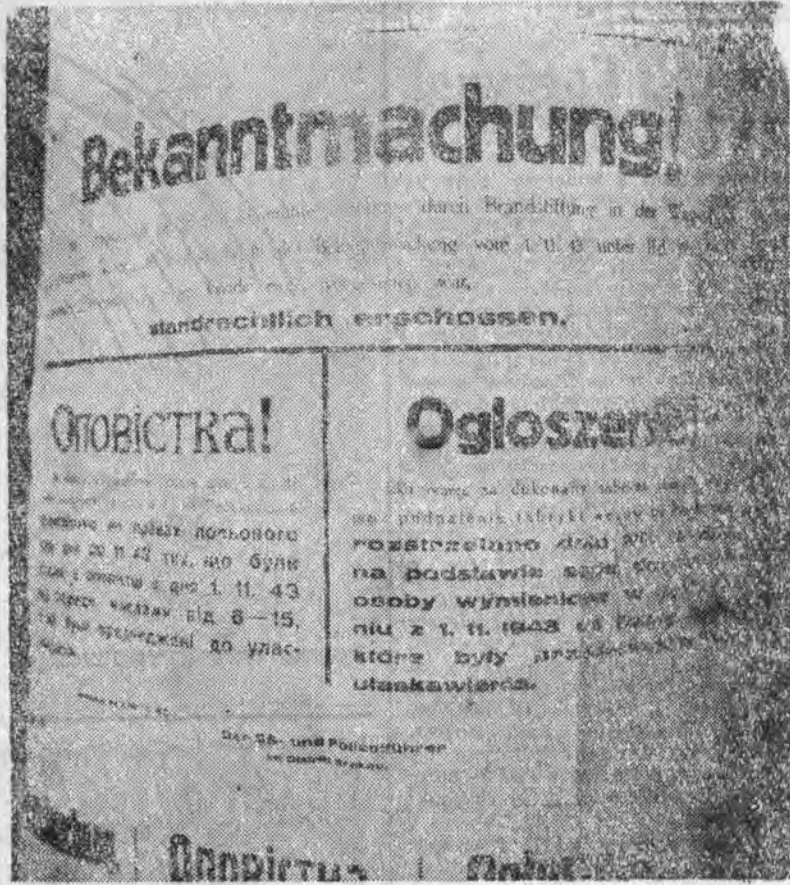
Okres między tymi dwiema datami wypełniony jest niezliczoną ilością zbrodni dokonywanych na polskich, żydowskich i ukraińskich mieszkańcach miasta, a także na spędzanych tutaj jeńcach wojennych, żołnierzach radzieckich, holenderskich, jugosłowiańskich i włoskich. Z 17.013 miesz-

kańców dzielnicy żydowskiej pozostało przy życiu zaledwie kilka osób, które zdołały ratować się ucieczką. W obozach jenieckich zginęło około 8 tysięcy osób.

Wystawa przemyska pokazuje nam tych ludzi jeszcze za życia. Widzimy maszerujących jeńców, żydowskie kobiety stojące w kolejkach po kawałek chleba, przepędzane z miejsca na miejsce. Widzimy katów zgnęających się nad swymi ofiarami i sporządzane przez nich dokumenty zbrodniczej działalności, oglądamy zdjęcia planujące miasta. Organizatorzy wystawy starannie zebrali zestaw dokumentów i zdjęć świadczących o poczynaniach okupanta, obejmujący łącznie 300 oryginalnych eksponatów.

Wywołują one wstrząsające wrażenie. Oto czarny mundur gestapowca i pałka do torturowania przesłuchiwanego, a naprzeciw autentyczny pasiak więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau. Oto karty pracy przymusowych robotników i znaki „P”, które musieli nosić na ubraniach; oto cały słup oklejony złowieszczymi listami rozstrzelanych — jest ich tu tylko część, gdyby zebrać je wszystkie byłaby odrębna wystawa. Liczny zestaw zdjęć dokonanych w latach okupacji uzupełnia ten zbiór.

Autorzy wystawy: Leszek Włodek i Antoni Kunysz zrezygnowali z jakiegokolwiek komentarza do eksponatów, zamieszczając jedynie ogólną informację w katalogu. Lektura tego wydawnictwa, po której właściwie powinno się dopiero oglądać wystawę, w połączeniu z eksponatami daje obraz zbrodni, które nawet w skali jednego miasta są straszliwe i przerażające. (w)



Ogłoszenie śmierci

Fot. M. KOPEC

5 milionów czytelników...

W ostatnim 4-leciu, a więc w okresie minionej kadencji rad narodowych nastąpił poważny wzrost czytelnictwa w naszym kraju. Liczba bibliotek publicznych powiększyła się z 7.033 do 7.914, a liczba osób korzystających z usług tych placówek wzrosła z 3.587 tys. do 4.924 tys.

Szczególnie udany był pod tym względem miniony rok. Liczba czytelników np. wzrosła o pół miliona, a liczba wypożyczeń o ponad 10 mln i wynosi obecnie blisko 91,5 mln egzemplarzy książek rocznie. Aby obraz rozwoju czytelnictwa był pełniejszy należy jeszcze dodać, że mamy 27.080 punktów bibliotecznych, a księgozbiory bibliotek publicznych i punktów liczą łącznie 39.539 tys. tomów, 30 proc. tej liczby — to pozycje popularnonaukowe, społeczno-polityczne, encyklopedie.

Rozwój czytelnictwa obejmuje swym zasięgiem przede wszystkim wieś. Z blisko 8 tys. bibliotek — 6.008 działa na wsi, przeważająca większość punktów bibliotecznych zlokalizowana jest również na wsi, a prawie co trzecia biblioteka wiejska ma czytelników, których jest 1.848. Prawie połowa księgozbiorów — 18.279 tys. tomów, jest do dyspozycji czytelników wiejskich, których liczba wynosi 2.530 tys. osób.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Paupka

Paupka jest fair play: sztuka młodego francuskiego dramaturga, bez przesady można dołożyć ambitnego, sensacyjnego, napiętego, niewyjaśnionego prawie do końca „kto zabił”, przy tym komedia charakterów, która zażerowała na sartrowskich sytuacjach zamkniętych drzwi. Same smaczki.

Nie trzeba mieć jednak umysłu zbyt dociekliwego, by zapytać cui bono się to gra? Znam parę magicznych słów, jak kasa i publiczność, i, przyznając, rozumiem je; doceniam groźbę braku obydwu. Ale pod warunkiem, że toutes proportions gardees, że, by być bardziej zrozumiałą, nie karmi się nas przedtem trzema komedyjkami — „Pięciu wieczorami”, gdzie naiwne smuteczki okrasza nikły dowcip, nieocenionym Goldonim, ale nieocenionym w przypadku „Blizniaków” tylko w zabawie i wreszcie „Pokusą”, o której zupełnie niedawno powiedziałam, co myślę. Siła wesołego, jak na jeden sezon!

A paupka, automatycznie zatracając elegancję szanowania gustów publiczności, czyniąc z „Ośmiu kobiet” nie nabytą wybredną pozycję repertuarową. Ze publiczność się bawi? Naturalnie, że się bawi, bo dowcipny ten Robert Thomas, znający rzemiosło, na pewno świetny obserwator, zapatrzonny we wzorce, których dostarczyli Meilhac i Halevy, Fiers i Caillavet oraz inni pomniejsi mistrzowie bulwarówek. I nie wnień mnie z mizantropa, którego drażni ludzka wesołość, ale jeżeli ta wesołość nie najwyższych lotów krąży po scenie jednego teatru od paru miesięcy, to wniosek oczywisty pcha się przed oczy: nie sama pustota, nie samym śmiechem... Kiedyś pisałam, że teatr prowincjonalny zmuszony bywa do eklektycznego repertuarowego. Nie lubię eklektyzmu w sztuce, ale w tej konkretnej sytuacji jednego teatru, mogą uznać celowość takiej postawy. Cztery ostatnie premiery przekonały mnie, że repertuar wcale nie musi być eklektyczny, przeciwnie, może być ogromnie schematyczny. Tylko właśnie cui bono? Bo ani dla swojego, ani dla publiczności. Zaczynam mieć poważne obawy, czy żywym wystarczy nadziei.

Sztuka jest skonstruowana, jak u mistrza ekranu Hitchcocka na suspense, na zaskoczeniu. Żeby zaskoczenie podziało z odpowiednią siłą musi być groza, niesamowitość. Leżący za zamkniętymi drzwiami nieboszczyk pozostawia szerokie możliwości pod tym względem i wystarczy tylko zastosować umiejętnie dozowanie strachu oraz pamiętać o śmierci, która nawiedziła dom, a receptę na nastrój mamy gotową. Nastrój można rocić krzykiem, szepem, gestem i nierzuchomością. Wybrano krzyk i młotanie. O młotaniu pisać nie trzeba, samo pojęcie jest pejoratywne; krzyk działa bezbłędnie po raz pierwszy, użyty wtórnie staje się wrzaskiem i jest śmieszny. Kiedy ktoś krzyczy ze strachu, nawet wtedy, jeśli nadejście na karalucha, nie jest śmieszny; powinien być wstrzą-

sający. Panie w zbiorowym ataku hysterii były nudne. Niumiejętnie dozwalały strach, nie chciały im się pamiętać o śmierci. Napięcie to słabło, to, podsycone czasem iskierką dobrej gry, biyskało. Za mało to trochę na sensację.

Panie były śmieszne. Przeważnie dobrodusze. Panie miały być śmieszne, ale nie mogły być dobrodusze — sztuka w partiach psychologicznych jest s t drapieżna, demaskująca strasznych mieszczan, oskarżająca o brak moralności środowisko nuworyszów. Reżyserka spektaklu — Elwira Turska, nie wyeksponowała tego, co w tej komedii jest z tartuffów i harpagonów. Kiedy Starsza Pani przy chórze uraga i śmiechu trzęsącą ręką zbiera swoje obligacje i marząco wyznaje, że chce pożyć jeszcze 20 lat, — odnoszę wrażenie, że Starsza Pani ma do tego prawo; jest mi smutno, że mi Starsze Pani. A Starsza Pani przeciw odmową pożyczki usmierciła pośrednio zięcia! (Notabene podobała mi się gra Starsze Pani — Jadwigi Wysockiej. To była rola na pewno dopracowana).

Ciężar sztuki Thomas złożył w ręce Katarzyny; jej, najbardziej winnej i niewinnej zarazem, pozwolił wyjaśniać tę skomplikowaną superzabawę. Katarzyna — uczuciowy podlotek, jest w gruncie rzeczy arcywzorem pustogłowej panny, typowym produktem moralności rodowej oraz niezłym zadatkim na jej kontynuatkę. Skomplikowana rola. Zagrzeła ją Alina Zydrca. Od ekstradynaryjnego wejścia na scenę po ostatnie słowa tekstu zagrzeła ją na zasadzie małego błazenka, nieco perfidnego, bez przysłowowej mądrości, która w błaznówce wszelkich mieszka i która była jednocześnie motorem całego pomysłu. To rolę zubożyło. Tym bardziej razita ta monotonna błazenada, że Alina Zydrca budowała ją na zrębach dobrej dykcji. A z tą

w wielu Pań było niezupełnie dobrane. Ta lawina słów, którymi rządził dowcip, pięturyła trudności, eksponowała jaskrawo niedosiadki sztuki pięknego mówienia. I może przez to często nieładne podanie tekstu tak wódkę mi się pierwszy akt „Ośmiu kobiet” i tak bardzo spadło napięcie w akcie II?

I wreszcie pora na komplementy. A więc ten dla Jadwigi Ulatowskiej za znakomicie narysowaną, konsekwentną Lutę, bez banalnych gier, nadmiaru uśmiechów i układności (tym bardziej że druga to już pokójówka Ulatowskiej w ciągu dwóch miesięcy i zdecydowanie inna); ten dla Zofii Gorczyńskiej, która stetryczała Augustynę budowała z wielką swobodą gestu; i w końcu dla Chanel — Ireny Żuromskiej za autentyczne ciepło, jakie udało jej się przemycić do sztuki. Oschła Gabry była konsekwentnie Irena Chudzikówna, Pierette grała Aleksandra Bonarska, a Zuzanna Anna Biełkiewicz — grała ją zadatko rzeczowo, jak na uczuciową pannę z romansową przygodą.

Scenografię opracowała Irena Perkowska. Nie najszybszy zreszła był ten melanz nowoczesności ze starociami.

Straszny dwór — paupkę wyreżyserowała Elwira Turska, wciągając w nią publiczność, ku obopólnemu zadowoleniu. W tej sytuacji demagogia byłoby pytać, czy i pożytkowi tej ostatniej.

Teatr im. Wandy Slesazkowej.

Robert Thomas: „Ośmiu kobiet”. Reż. Elwira Turska. Scen.: Irena Perkowska. As. reż.: Jadwiga Ulatowska. Osoby: Irena Żuromska, Jadwiga Ulatowska, Jadwiga Wysocka, Irena Chudzikówna, Anna Biełkiewicz, Zofia Gorczyńska, Alina Zydrca, Aleksandra Bonarska. Premiera — 7 maja 1965 r.



Ponad jedna trzecia budynków Przemysła legła w gruzach. Na zdjęciu: ul. Jagiellońska

— Ludzie się niecierpliwią, czekają od rana, a robota stoł. Pan rozumie — omloty. Maszyna idzie po kolei, jak przegapisz — to i wymłócisz dopiero przy końcu. Ot co... Ja w zeszłym roku...

Marcisz kończył się ubierać. Słuchałem tego starego człowieka i patrzyłem na jego pooraną zmarszczkami twarz. Brak mu było tylko jednego zęba! Taki stary i jeszcze ma tyle zębów! Golił się widać w pośpiechu. Na brodzie sterczała mu kępka zarostu, a koło lewego ucha widniała krwawa skaleczenie. Jakby wyczytał z mej twarzy, że go nie słucham, spojrział ukradkiem na samochód, znowu zdjął czapkę.

— To ja już pójdę. Panowie tą drogą na wprost, a potem na lewo i przez mostek. Ja po drodze poproszę księdza — podreptał w kierunku wysokiego między i jeszcze raz się odwrócił — co się tam dzieje!

Zawarczał silnik.

Niedopalek wgniałem długo i dokładnie w przybrzeżny piach.

Marcisz jechał powoli, sztywno wyprostowany na siedzeniu. Dojrzed już można było grupę ludzi, chorągwie, wieńce. Kilka psów wściekle ujadając, poprzedzało samochód. Rozpoznawałem już twarze: zwieszona głowy, dionie przy oczach. Poprawilem krawat.

Marcisz jechał nie patrząc na mnie, jak przez mgłę zauważyłem, że drżą mu dionie; przez miarowy szum motoru przebiegały się jęki, lament i zawodzenie. Nie dało się jechać dalej. Kolumna ciemnych postaci stanęła przed nami murem konwulsyjnie się skręcając. Jakaś kobieta mdlała.

Dojrzałem jeszcze skierowaną ku nam lub może niebiosom zaciśniętą pięść.

Siedziałem pod jabłonią. Gałęzie pełne owoców gięły się łagodnym ukiem aż do ziemi. Tu i ówdzie wałaly się w zielsku ogromne jabłka. Pod skarpę usiłowała mi wejść biedronka. Zatrzymała się na moment, medytując nad wyborem właściwszej drogi, potem zawróciła szybko i wdrapała się na wysuszony budył.

Przeknąłem silnę. W uszach mi jęczało: zabiłście mi dziecko, zabiłście mi dziecko, zabiłście mi... raz głosem ochryplym, to znowu dziwnie syczącym.

Przedemną stanął Marcisz.

— Pan tu nie nie zawiń, ale się trzeba tam pokazać, bo gotowi uwierzyć. Ja wiem... Mnie też głupio... od samego rana nie potrafiłem siebie nijak oszukać — schylił się i wycierał chwilę o pole marynarki. Jednak otworzyli. Nawet dobrze wyglądał, tylko jest bardzo blady, jak kreda.

Powietrze wibrowało gorącym. Strumienie żaru kładły się na sadzzną płachtą. Do obory zbliżał się ten człowiek z syczącym i chrapiwym głosem, zgarbiony, z pełnymi wiadrami wody.

— Rozmawiałem z nim. Prosił, żeby jeszcze nie odjeżdżał — ma być stypa. Chciał z panem pomówić jeszcze raz. Mówił jeszcze, że mu przykro, że pan niewiele starszy od jego Ryśka i że to nieładnie się gniewać na starszego człowieka. Tam trzeba iść, a może nawet, bo ja wiem? — zadumał się. — Może nawet uklęknąć przy trumnie.

Uderzył mnie w nozdrza zapach kwiatów i wosku. Nie patrzyłem na Ryśka. Klęczałem ze zwieszoną głową, na obu kolanach. W plecy wgniaty mi się spojrzenia i płynęły gorącym ku krtani do ust i czoła.

Patrzyłem jak po świecy sływa kropla wosku.

Nie mają już chyba do mnie żalu, „uczyniliście wszystko co w naszej mocy”, dopiero teraz — Ryśku...

Miałem już spokojne sumienie i swoje miejsce na witrażu.

MARIAN ADAM KASPRZYK



„Ośmiu kobiet” na scenie rzeszowskiej. Scena zbiorowa

Fot. J. OLMA

Ze stolicy polskiej piosenki

Opole przygotowuje III Festiwal

Organizatorzy żadnego z polskich festiwali artystycznych nie zebraли tak wielu pochwał i serdecznych słów uznania jak gospodarze opolskiego festiwalu polskiej piosenki.

Festiwal odbędzie się w dniach 17-20 czerwca br. Organizatorem jest Towarzystwo Przyjaciół Opola, Komitet do Spraw Radia i Telewizji z Włodzimierzem Sokorskim, którego powołano również na stanowisko przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego III Festiwalu Piosenki oraz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Opolu.

Jakie piosenki usłyszymy w czasie Festiwalu? Regulamin mówi, że zadaniem imprezy jest przegląd, konfrontacja, ocena i popularyzacja polskich piosenek.

Wykonawcami będą orkiestra Polskiego Radia Stefana Rachonia i Andrzej Kurylowicz oraz zespoły towarzyszące solistom.

stepnego dnia 2 koncerty, a 19 VI po koncercie popołudniowym, koncert galowy Radia i Telewizji, który będzie transmitowany w programie Polskiego Radia i TV.

Koncert w amfiteatrze poprowadzą niezapomniani z deszczowych występów Jacek Fedorowicz i Piotr Skrzynecki oraz Lucjan Kydryński.

Imprezy festiwalowe uświetni nakręcenie filmu przez telewizję warszawską o Opolu i jego festiwalach. Czynne będą 2 wystawy fotograficzne.

W czasie trwania III Festiwalu przeprowadzony zostanie plebiscyt, który wyłoni „laureatów widowni”.

M. G.

Freski Chagalla w operze nowojorskiej

Jak podaje prasa amerykańska, Marc Chagall podjął się namalowania dwóch wielkich fresków w foyer wznoszonej obecnie w Nowym Jorku nowej siedziby dla Metropolitan Opera.



FELIKS WORSZTYNOWICZ — artysta plastyk Rys. J. Sienkiewicz

WIDNOKRAG odpowiada

„Radar”: Niestety, nie możemy skorzystać z nadesłanych wierszy. Nazym zdaniem, nie mają one żadnych wartości artystycznych i w ogóle nie przypominają utworów poetyckich.

P. J. W. Przeworski: Przysłał nam Pan utwory interesujące i oryginalne, ale na razie to chyba jakieś etudy, jakieś wprawki warsztatowe.

Wyskoczyłem z restauracji i znalazłem miejsce w beczce, która odjechała natychmiast.

racji „Poranek”. Beczka uderzyła o podłogę, klepki rozchyliły się, a ja ocuciłem się na zimnej marmurowej posadzce.

— I co dalej? — zapytałem zaciekawiony.

TADEUSZ ŻYŻELEWSKI

Podróż w beczce

zaczęła fruwać wokół żyrandola. Restauracja zatrzęsała się wtedy od okrzyków i śpiewów. Rozróżniłem w nich sporo patriotycznych i laickich melodii.

— Ależ ja się uduśczę. — Tu niebezpiecznie — bożek odsunął klepkę.

— Wiedziałem, że dasz sobie radę. — Bożek zbliżył się do mnie — Byłem właśnie w jednym domu, gdzie spity poeta chciał koniecznie przekonać żonę i dzieci, że jest szewcem.

zdarzenia tygodnia

Jak już informowaliśmy, w dniach od 13-16 bm. w Szczecinie odbył się III Ogólnopolski Festiwal Poezji K. I. Gałczyńskiego, na którym woj. rzeszowskie reprezentowało 6 recytatorów.

W Przemyslu (Klub „Niedźwiadek”) odbyło się spotkanie autorskie Bogdana Loebla, kierownika Klubu Literackiego w Rzeszowie.

W Łańcucie zakończyła się w weekend najnowocześniejsza impreza muzyczna Rzeszowszczyzny — Dni Muzyki Kameralnej.

Komenda Chorągwi Rzeszowskiej ZHP zorganizowała w ub. piątek konkurs na najlepszy kominek harcerski.

KRONIKA DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

RZESZÓW: Z okazji Dnia Działacza Kultury odbyło się uroczyste posiedzenie Komisji Oświaty i Kultury WKZZ.